№ 17. Warszawa, dnia 11 (23) Kwietnia 1887 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBOT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

KRONIKA PARYZKA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

W literackim świecie paryzkim, dzień 31 Marca zapisał się jaskrawemi zgłoskami. W tym dniu Akademia Francuzka przyjmowała uroczyście nowego członka w miejsce zmarłego przed dwoma laty Wiktora Hugo. Tym wybranym jest poeta Leconte de Lisle.

Pomimo niepospolitego talentu i wszechstronnej nauki, nie byłby on może dostąpił podobnego zaszczytu gdyby nie to, że Akademia chciała uszanować wolę zmarłego człowieka. Przed laty dziewięciu Leconte de Lisle stanął w liczbie kandydatów, na jedno z miejsc podówczas wakujących. Wszystkie głosy objawiły się przeciw niemu, z wyjątkiem jednego, który oświadczył się za nim przy wyborach, był to głos Wiktora Hugo.

Z tego powodu, odrzucony kandydat napisał list drukowany w dziennikach. „Uważam się za członka Akademii, ponieważ jedyny głos jaki ma u mnie wagę, uznał mnie godnym tego zaszczytu."

Można by sądzić, że tak zuchwałe wystąpienie, zagrodzi na zawsze poecie drogę do Akademii, inaczej jednak się stało. Od lat dziewięciu, większa część członków zaskoczona śmiercią, znikła z widowni, mniejszość pozostałych przepomniała urazy, z jej inicyatywy Leconte de Lisle wystąpił znów jako kandydat i wybrany został jednomyślnie.

Nowy akademik nie należy bynajmniej do sympatycznych ani popularnych poetów, ale jako erudyta i wytrawny pracownik, wyrobił sobie uznanie pomiędzy uczonymi. W ciągu lat trzydziestu, wydał trzy zbiory poezyi pod tytułem: *poemata starożytne*, *poemata barbarzyńskie* i *poemata traiczne*. Każdy utwór jego, wyrzeźbiony po mistrzowsku, ale zimny jak marmur, dziwnym powiewa chłodem. Nieprzebłagany pessymista, przez usta bohaterów swoich, przeklina życie, podnosząc śmierć do najwyższej apoteozy. Oprócz tych oryginalnych poematów, wydał przekład wszystkich niemal arcydzieł literatury greckiej, zacząwszy od Heryoda, od Iliady i Odyssei homerowskiej, do tragedyi Eschylesa, Sofoklesa i Eurypidesa, do sielanek Teokryta i pieśni orficznych.

O ile w przekładach Leconte de Lisle, okazał się nieporównanym tłomaczem, o tyle w utworach oryginalnych, stał się dla ogółu wstrętnym raczej niż pociągającym. To też pomimo, że tradycya akademicka wymaga by wprowadzony członek powitany był pochwalną oracyą, zmieniła się na ten raz postać rzeczy. Aleksander Dumas, sypnął mu w oczy, nie słowy pochlebnemi, ale gorzkim wyrzutem.

„Chciałżebyś poeto—zawołał—wykluczyć z poezyi wiarę i miłość? Cóż jej dasz w zamian? Po pięćdziesięciu latach erudycyi, rozmyślań, wtajemniczenia w tradycye wszystkich czasów, jakaż filozofia wynika z twoich poematów? Oto złorzeczenia Kaina, których ostatniem słowem *nicestwo*, a ideałem śmierć!"

Mowa Dumasa, znalazła żywe odbicie w sercach, publiczność odpowiedziała na nie grzmotem oklasków. Leconte de Lisle stał jak kamień zimny, nieporuszony. Przypuszczamy, że wyleje z piersi gorycz w wielkim poemacie, nad którym obecnie pracuje, pod tytułem *Etats du Diable*. Ma to być satyra filozoficzna, złożona ze scen dyalogowanych pomiędzy historycznemi osobami. Poemat ten złożony z 12,000 wierszy, obejmie jak mówią wszystkie wypadki, od początku czwartego do końca szesnastego wieku.

Leconte de Lisle ma dziś lat blizko siedmdziesiąt. Urodził się w roku 1818, na wyspie Reunion w Antyllach, przebył tam młode lata. Możnaby sądzić, że niezmierzona przestrzeń oceanu, że widok malowniczych gór, rysujących się na sza-

firowem tle nieba, słowem wszystkie te cuda południowej przyrody, rozbudziły iskrę poetyczną w duszy młodziana. On przecież sam wyprowadza nas z błędu. W mowie akademickiej wyznaje, że obojętnem okiem poglądał na te czary i dostrzegł dopiero ich piękność, gdy odczytał wschodnie pieśni Wiktora Hugo (Les Orientales). Wnosi ztąd, że nie w uczuciu jak dotąd mniemano, ale w chłodnym rozumie leżą pobudki poezyi.

Przytaczamy na próbę pieśń p. t. *Bernika*, w której biegły artysta maluje urok rodzinnej wyspy.

Ukryta między góry skalistemi ściany,
Do dumań cię samotna przynęca dolina,
Ludzkiemi do niej stopy szlak nie wydeptany,
Nie odbrzmieją tu morza huczące bałwany,
Ni szmer ludzki. O świecie człowiek zapomina.

Wiatr kołysze powoje zdobne w dzwonki świeże,
W ich kielichu śpi błogo szerszeń miodu syty,
Wał ostrych aloesów przystępu tu strzeże,
I słodko tonie ucho w żywych wód poszmerze,
Gdy zdrój przez rozpękane sączy się granity.

A gdy rzuci na góry świt rąbek różowy,
Ona rajska dolinka zielem umajona,
Spowija skał olbrzymich najeżone głowy,
Przed słonecznym promieniem w płat mgły fijołkowy,
Co chłodnemi tumany bucha z pieczar łona.

Gdy południe z błękitu białą lawę toczy,
Jej żar wstrzyman w polocie konary ciemnemi,
Deszczem dyamentowym pryska w drzew pomroczy;
Po gałązkach zielonych drga promień uroczy,
Zanim plamy ogniste rozsieje po ziemi.

Niekiedy koza dzika wesołym poskokiem,
Z wytężonemi słuchy, pomknie z wrzosów cieniu,
Otrząśnie z grzbietu rosę, w krąg zatoczy wzrokiem.
Wodę w skały korycie zebraną głębokiem
Pije chciwie, na drżącym oparta kamieniu.

I rój swawolnych ptasząt przelata w swobodzie,
Z gałązki na gałązkę, z murawy na kwiatki,
Te piórka szmaragdowe trzepią w zimnej wodzie,
Te, suszą pierś na słonku, gdy chłód ją przebodzie,
Tam na gniazdkach pisklęta garną się do matki.

Uroczyste brzmią chóry po jasnym lazurze,
Tu miłość wabi słodko, tam tęskno się żali,
Śmiech, radość i wesele, pustota, serc burze,
Tak słodko się zlewają w harmonijnym chórze,
Iż spokoju powietrznej nie zamącą fali.

Lecz dusza upojona tą chwilą szczęśliwą,
Czarodziejskich uroków złoty wątek plecie,
Czuje się ptakiem, kwiatem, światłem, wodą żywą,
Wie jak silne z przyrodą łączy ją ogniwo
I ścicha na jej łono powraca jak dziecię.

(*Dokończenie nastąpi.*)

KRWAWY DYABEŁ.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

z czasów Zygmunta III.

PRZEZ

L. S. W.

(Dalszy ciąg.)

Burgrabia klasnął w dłonie i szepnąwszy słów kilka hajdukowi, który wnet się zjawił i wyszedł natychmiast, sam pozostał u drzwi na swem stsnowisku, czekając zapewne na sposobność zdania sprawy panu z tego, co w czasie jego nieobecności przytrafić się tu mogło.

— Zamek w porządku? — zapytał po chwili starosta.

Burgrabia odparł z ukłonem:

— Tak jest, wielmożny panie. Działa większe, śmigowce i hakownice na wałach i murach są w komplecie i w dobrym stanie. Amunicyi niebrak.

— Ludzi macie tu dużo? — badał dalej gospodarz.

— Co do tego, wielmożny starosto, czekam rozkazów. Ja tu miałem zaledwie trzydziestu piechoty, a i z tych pan podstarości zabrał połowę do grodu. Teraz z jegomością wróciło przeszło sto koni...

— Cóż to, nie policzyłeś waść jeszcze dokładnie? — huknął starosta.

— Uczynię to w tej chwili — rzekł strwożony burgrabia, cofając się i biorąc za klamkę.

— Stój waść! — zawołał gospodarz. Tym razem sam ci powiem, że oddział mój liczy stu ośmnastu ludzi i sto sześćdziesiąt koni. Nie licząc nas trzech i naszych wierzchowców — dodał z uśmiechem, który jednak wcale przyjemnym nie był, lecz nadał ponurej jego twarzy wyraz krogulca lub sowy.

Burgrabia odetchnął, widząc że groźny starosta raczy potrosze żartować, a więc nie jest w zupełnie złym humorze. Pokłonił się więc znowu głęboko.

— Miałem stu pięćdziesięciu jezdnych — mówił pan domu — ale w ciągu trzech lat zostało tam coś pod Byczyną, na Węgrzech i gdzieindziej. Teraz jedno z drugiem za mało... Może potrzebować będę więcej. Pomówię z podstarościm. Nie było napadów? — zwrócił się do burgrabiego.

— Tak dobrze jak nie — odpowiedział burgrabia. — W zaprzeszłym roku kręcili się Zamojszczycy, ale nie odważyli pokusić się o zamek. Jednego postrzeliliśmy, jednego pojmano.

— Gdzie jest? — spytał krótko starosta, uderzając w stół pięścią.

— W lochu, czeka na wyrok wielmożnego pana.

— Wyrok będzie krótki, a wykonanie szybkie— rzekł ze śmiechem starosta. — Nie mógł go to już dawno ściąć podstarości?

Burgrabia wzruszył ramionami w milczeniu, dając tem poznać, że to rzecz nie jego.

— Kogo tam jeszcze macie w lochach? — pytał dalej pan zamku.

— Jest dwóch Tatarów, których tu roku przeszłego przysłał pan Adam, stryjeczny brat jegomości. Pohańcy rozpuścili zagony aż pod Przeworsk, ale ich pan Adam rozgromił. Nakoniec mamy jeszcze trzech chłopów pana Korniakta, schwytanych w utarczce o granice...

Stadnicki porwał się z miejsca.

— Ha, ten Korniakt już mi kością w gardle stoi! Zausznik Zamojskiego siedzi mi tu pod nosem, worywa się w moje pola, wyrąbuje moje lasy. Trzeba rozprawić się prędko naprzód z jego chłopami, potem z nim samym.

Gniew opanował starostę: twarz przybrała barwę fioletową, a oczy krwią nabiegłe, rzucały blask złowrogi. Nabrzmiałe na czole żyły, zdawało się że pękną za chwilę.

Usiadł mocno sapiąc i wychylił kubek miodu.

— Gdzie podstarości? zapytał po chwili.

— Jest tu na dole — odparł burgrabia.—Oczekuje rozkazów wielmożnego pana.

— Niech przyjdzie na wieczerzę — rzekł starosta i dał ręką znak burgrabiemu ażeby się oddalił.

— Opatrzéć konie i ludzi i przygotować izbę dla moich gości — wołał jeszcze za odchodzącym starosta.

Cielecki, już biorąc się za klamkę, odwrócił się raz jeszcze, złożył ukłon głęboki i po chwili znikł za drzwiami.

W przyległej komnacie jadalnej, do której panowie wkrótce przeszli, było jaśniej i cieplej. Paliła się tu bowiem w ogromnym kominie cała kłoda dębowa, a stojący po środku pokoju stół kształtu podkowy oświetlony był kilkoma świecznikami.

Na stole zastawione były misy z mięsiwem, półmiski z sosami i przyprawami, dzbany z miodem i winem. Nakryć osobnych dla każdej osoby, obyczajem ówczesnym nie było, wystarczało przystawić krzesło dla przybywającego biesiadnika. Talerze i kubki próżne były pod ręką, podobnie jak i łyżki. Nożów tylko nie było wiele, a widelców mniej jeszcze, gdyż w owej epoce nóż każdy prawie szlachcic miał własny przy sobie, a widelce nie były jeszcze powszechnie używane. Chociaż był to jeszcze u katolików post wielki, wieczerza była mięsna, gdyż Stadniccy należeli do dysydentów wyznania kalwińskiego. Na dwóch małych stoliczkach stały miednice i nalewki z wodą, a że serwet wówczas nie używano, było zawsze pod ręką kilku ze służby z dużemi wzorzystemi ręcznikami, którzy stali za krzesłami biesiadników i usługiwali im na każde skinienie. Kręciło się i teraz tu kilka postaci, wyglądających dziwnie, gdyż przybrani byli w pstre jakieś kaftany, z materyi w różnokolorowe: żółte, niebieskie i czerwone pasy: dziwna ta liberya miała być modą turecką. Wszystkie prawie naczynia były srebrne, ciężkie, roboty kosztownej, tłoczone, niektóre tylko dzbany i misy były cynowe, starannie wyrobione i pokaźniejsze niemal od ściemniałego wskutek starości srebra. Szkła ani porcelany nie używano wtedy prawie zgoła.

Wchodzącego do komnaty starostę spotkała u progu niewiasta słusznego wzrostu, wysoka, wysmukła, może trzydziestoletnia, o bladej, przyjemnej twarzy i dużych czarnych a smutnych oczach. Ubrana była w gładką i wązką suknię czarną z rękawami wązkiemi, a tak długiemi, że w nich chowały się dłonie; głowę miała przykrytą białym rąbkiem czyli płachtą płócienną cienką, której końce opasywały szyję, spięte niewielką szpilką w kształcie krzyżyka. Od tego to pokrycia głowy, które przechowało się do dziś dnia u kobiet wiejskich w wielu okolicach kraju naszego, język nasz

nazwał kobietę *białogłową*. W wieku XVI już zresztą to okrycie należało u możnych tylko do stroju wdowieńskiego i zakonnego, od którego ubiór wdów mało się różnił. Było bowiem we zwyczaju, aby wdowy, opłakujące mężów i niepocieszone po ich stracie, przywdziewały na resztę życia habit zakonny lub strój wielce do klasztornego zbliżony, na znak że nie dbają już o stroje i uciechy ziemskie. W takich habitach chowano matrony nasze na wieczny spoczynek, i do dziś dnia na kamiennych płytach nagrobków widzieć można wykute postacie wojewodzin, kasztelanowych i innych niewiast możnych w strojach zakonnych. Surowy obyczaj tych rodzin, gdzie przechowała się dawna prostota, wymagał, ażeby nawet przez czas dłuższej nieobecności męża, żona chodziła w szatach wdowich, nawpół zakonnych, jako smutna wdowa, chociaż tylko do czasu, to jest, jak mówi się dzisiaj „słomiana". Dlatego to zapewne i pani starościna Anna z Jazłowieckich Stadnicka, witała swego pana i małżonka w stroju wdowim, żałobnym, którego nie miała jeszcze czasu przemienić na inny, okazalszy, który wyrażałby jej radość z powrotu męża. Za rękę trzymała małego, ośmioletniego może chłopaka, tęgiego i pucułowatego, o ciemnych kędzierzawych włosach i czarnych oczach, ubranego w popielaty aksamitny, wyszywany srebrem spencerek.

Był to Władzio, jedyny synek Stadnickich; niebardzo trwożny z natury, spoglądał jednak z pewnym przestrachem i ciekawością na wchodzącego ojca, o którym przez lat cztery, przeciąg czasu aż nadto długi dla dziecka, mógł już całkiem nawet zapomnieć.

Pani Anna przystąpiła do wchodzącego męża i pokłoniła mu się do kolan, jak służebnica, synek ucałował kolana ojcowskie.

Pan Stanisław, jako brat, ucałował obyczajem ówczesnym, panią starościnę w oba policzki a młody pan Samuel poprzestał na złożeniu ciotce głębokiego ukłonu, na który starościna odpowiedziała podobnym. Całowanie kobiet w rękę nie było wtedy w zwyczaju.

Po tych ceremoniach powitania, usiedli wszyscy do stołu. Pani Anna usiadła przy małżonku, nietyle może aby robić honory domu, ile dlatego, żeby służyć swemu panu i mężowi, bacznie zwracając uwagę na jego talerze i kubki, nalewając mu i podając wszystko czego zapragnął.

— No moja panno — odezwał się starosta — widzę, że wyglądasz zdrowo. A i Władek niczego — dodał biorąc malca na kolana i głaszcząc kędzierzawą jego główkę. — Ile ty masz lat już, malcze? — zapytał.

— Ośm, do usług jegomości pana rodzica — odparł śmiało wyuczony zapewne Władek.

— He, he — mówił starosta, a groźna twarz jego rozjaśniła się nieco (nie ma bowiem na świecie człowieka tak złego, który byłby całkiem pozbawiony miłości ojcowskiej), to nieprędko jeszcze dosiędziesz konika i z szabelką pójdziesz w taniec z dziczą tatarską, z Wołoszą, lub z Zamojszczykami...

— Już jeżdżę na bachmaciku, mam łuk, szabelkę i procę — rzekł śmiało chłopak, a oczęta jaśniały mu dumą.

— I procę, no proszę — wtrącił pan Stanisław z Ozomli, uśmiechając się do malca.

— Dobrze mały, dobrze, a rośnij prędko, na strach i zgubę wrogom! — dodał ojciec.

— Mój pan i małżonek — odezwała się przycisZonym głosem pani Anna — wraca w pożądanem zdrowiu, ze sławą i powodzeniem?

— Niezgorzej, niezgorzej — odmruknął starosta, zabierając się do jedzenia.

Pan Stanisław z Ozomli napełnił kubki i odchrząknąwszy podniósł się z miejsca. Uważał snać za swój obowiązek zabrać głos, a że słynął z wymowy, wygłosił następującą, mniej więcej, owacyą.

— Sława i powodzenie wielmożnego pana starosty, mnie wielce miłościwego pana i brata, o które zapytywać raczycie, wielmożna pani starościno i siostro, jaśnieją istotnie wielkim blaskiem i okryły nową świetnością herb Stadnickich, stary nasz klejnot rodzinny. Przez cztery lata, śmiem chlubić się z tego, dzieliłem losy naszego bohatera i walczyłem, gdzie wypadło, przy jego boku, zaprawiając także do trudów rycerskich i tego oto młodzieńca, dorastające już pisklę orlego gniazda, co mówię, raczej lwię młode z potężnego rodu. Walczyliśmy na Szlązku przy boku Maksymiliana, wolnemi głosy królem obranego, a gdy fortuna opuściła nas w tej potrzebie i wziął nad nami górę hardy Zamojski, samowolnie nam królów narzucający, udaliśmy się na obczyznę, nie chcąc patrzeć na tryumf przemocy i zdeptanie swobód narodowych. Na żołdzie cesarza i arcyksiążąt, ucieraliśmy się z pohańcami, z dziczą turecką i tatarską na Węgrzech. Tam pan Samuel, młode orlę z lwiego rodu, czyli raczej lwię z orlego gniazda (tu zmieszał się trochę mówca, gdyż sam sławiony właśnie pan Samuel mimowolnym parsknął śmiechem), tam mówię, młody ten rycerz odbył chrzest ognia i zdobył pierwsze ostrogi, jak było to rycerskim obyczajem dawnych wieków. Mężny zaś nasz bohater, pan starosta, nowemi okrył się laury, ścieląc pod nogi pohańców na wszystkie strony, gdzie tylko zwrócił się ze swym mieczem ognistym i niezwalczonym. Tak oto w potyczce pod Berynem, mając ze sobą tylko ośmiu ludzi, położył trupem pięćdziesięciu pohańców. W porównaniu z tym naszym bohaterem niczem są zaprawdę starożytne Achillesy i Hektory, niczem Kuryusze i Scypiony.

Tu mówca odetchnął trochę i wychylił kubek miodu. Biesiadnicy tymczasem jedli, słuchając w milczeniu i dosyć obojętnie, przynajmniej nieznać było ażeby panu staroście lub młodemu Samuelowi sprawiały wielką uciechę te pochlebstwa i pochwały.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PIERWSZA TAJEMNICA.

OPOWIEDZIAŁA

Maryja Napieralska.

(Dalszy ciąg.)

II.

Już minął gorący Lipiec i Sierpień, już pora jesienna zaczęła swoje działanie, strzęsając liście z drzew, nakazując wzięcie cieplejszych sukien, a ja pozostawałam jeszcze w Warszawie, bez miejsca nauczycielki.

Przez całe dwa miesiące nie pisałyśmy z Wandą do siebie wcale. Ona bawiąc u wód leczniczych nie pisała, nie wiedząc, czy jestem jeszcze na pensyi; ja zaś w oczekiwaniu pewnego rezultatu w poszukiwaniu przełożonej, chciałam dopiero później podać jej jaką stanowczą wiadomość.

I oto, w pierwszych dniach Września, spotkała mnie wielka, niewymarzona nawet niespodzianka. Wielka Wanda obdarzyła mnie i przełożoną listami, w których ofiarowała mi miejsce w domu jej ojca, jako towarzyszki dla niej a zarazem guwernantki dla młodszej siostry. Propozycya ta nie była do odrzucenia. Przyjacielski stosunek, świetne warunki pobytu nie kazały jej odrzucać. To też skacząc po pokoju i klaszcząc w ręce, jak dziecko odczytywałam ciągle list koleżanki.

Droga Wańdziu — pisała między innemi — jestem pewna, że bez chwili namysłu zdecydujesz się przyjechać do nas, do twej kochającej Wielkiej Wandy, moja ty mała ślicznoto. Odpisz natychmiast, a z ojcem przybędę zaraz po ciebie, gdyż będąc tak młodą i piękną nie możesz sama odbywać tak dalekiej podróży. Co do mnie cieszę się, że zobaczę naszą kochaną Warszawę.

W liście tym przy serdecznych słowach zamieszczoną była szczodra kwota, mająca służyć na zaspokojenie moich wszelkich wydatków, jakie ponieść miałam.

— Paniusiu, paniusiu! — wołam ściskając mocno moją przełożoną — jak to dobrze się stało.

— Dobrze, dobrze się stało, moje dziecko — odpowiedziała poczciwa stara panna — ale to tak daleko, aż za Kijowem.

Coprawda, ta odległość nie smuciła mnie ani troszkę, przeciwnie, byłam kontentą z nadziei zobaczenia tej ziemi opiewanej przez poetów, na łonie której Bohdan Zaleski śpiewał: Święć się, święć się wieku młody!...

Miałam zawrzeć nowe stosunki, poznać innych ludzi, ujrzeć wiele rzeczy niewidzianych dotąd, nic więc dziwnego, że myśl o tem dawała mi wesołe marzenia, uprzedzając samą rzeczywistość. Inna jednak myśl wprawiała mnie w smutek, ukazując mi moją starą, kochającą babkę, którą prawdopodobnie zmartwi bardzo mój wyjazd. Ze strwożonem więc nieco sercem, stanęłam przed nią na górze w jej facyatce o jednem okienku. Babka w tej nizkiej, ubogiej izdebce, siedziała w spłowiałym ze starości fotelu w zniszczonej wytartej sukni. Drżącemi z wieku palcami poruszała drutami, podczas gdy gasnące jej oczy zdawały się z blaskiem prawie wpatrywać we mnie.

— Moja Wando, moja ukochana Wando! jak ty ładnie wyrosłaś! — mówiła z uwielbieniem. — Tę moją dobrą babkę odwiedzałam dość często, przynosząc jej zawsze jakie podarunki od przełożonej i teraz z uśmiechem na jej głośny zachwyt odwiązałam pakiet, zawierający całe zimowe ubranie.

— Patrz babciu, tutaj coś ładniejszego i lepszego masz ode mnie.

— O ta twoja opiekunka jest bardzo dobrą, bardzo miłosierną, ale prezenta jej chociaż ofiarowane grzecznie, uprzejmie, upokarzają mnie jak zwykle każda łaska doznana od ludzi bogatych, którzy przypominają minioną przeszłość — rzekła biedaczka z westchnieniem.

Trzeba wiedzieć, że rodzina nasza była niegdyś zamożną, ale nieszczęśliwe wypadki, procesy, nakoniec śmierć mych rodziców, doprowadziły babkę do stanu wyżej opisanego.

— Babciu, niedługo porzucisz tę facyatkę, bo moja opiekunka obiecała ci dać na zimę inne wy-

godne mieszkanie, a ja babciu będę ci przysyłać pieniądze!

— Pieniądze! — przerwała — a zkądże ty ich weźmiesz moje dziecko?

Wtedy przyklękłam przy nogach babki i trzymając jej rękę w moich, opowiedziałam o tej bliżkiej już wyprawie. Skończywszy serdecznem uściśnięciem opowiadanie, wstałam z kolan a po twarzy staruszki płynęły zwolna duże, gorące łzy.

— Czego ty babciu płaczesz? — spytałam.

— Płaczę tego, że sama jedna musisz iść za kawałkiem chleba, w tak daleki świat; płaczę, bo prawdopodobnie nigdy cię już nie ujrzę. O! nie o takiej przyszłości marzyłam dla ciebie — ciągnęła dalej rozżalając się. — Taka piękna, delikatna, będziesz może musiała całe życie spędzić przy takiej niewdzięcznej pracy, jak uczenie cudzych dzieci. Na wieleż to przykrości, upokorzeń narazisz się, wieleż razy zapłaczesz, a to wszystko dla chleba i za chlebem.

Rozpacz poczciwej babki i mnie się po trochu udzieliła.

Stanąwszy przy małem okienku, zapuściłam wzrok daleko, jakby pragnąc dowiedzieć się o tej przyszłości, tak niewesoło przepowiadanej. Któż wie co tam dla mnie los gotuje? A przecież w razie nieszczęścia jakiego nie będę miała przyjść do kogo, bo któż z obcych poda dłoń sierocie?

— Babciu, przecież tobie nie dlatego smutno, że ja pracować będę? — zapytałam naiwnie.

Może staruszka była nieco przesądna, może zdawało jej się, że praca w dzisiejszych czasach jest czemś niegodnem rąk kobiecych. Może więc moja babcia nie wyobrażała sobie dla mnie innego szczęścia, nad zamążpójście. I rzeczywiście odpowiedź babci zmierzała do tego.

— Gdybyś była bogatą — rzekła — świat by ci inny z pewnością los zgotował.

Na wspomnienie bogactwa, musiały mi się oczy zaświecić, bo chociaż doskonale potrafiłam rozprawiać o najwznioślejszych teoryach, o pożytku pracy i wyższości demokratycznej, chociaż rezygnacya moja zdawała się być zupełnie naturalną i nieprzymuszoną, to jednak w głębi mej panieńskiej główki roiłam o czemś innem zupełnie, nie pragnąc bynajmniej zastosowania do siebie samej tych wszystkich moralnych madrygałów.

— Babciu — rzekłam stając przed nią — więc mnie już nic wesołego nie czeka na świecie? Więc już jestem tak stara, tak brzydka, że nie mogę mieć pretensyi do niczego?

Uśmiechałam się mówiąc to, ale babka smutnie pokiwała głową.

— Lepiej prawie byłoby dla ciebie mieć brzydką i starą postać, bo wtedy niepostrzeżona przez nikogo, lub z obojętnością wszystkich, przeszłabyś świat, do którego masz wejść sama jedna.

Lekceważąco potrząsnęłam głową szepnąwszy:

— Co mi tam! Wolę młodość i piękność.

Pożegnanie z babką było bardzo serdeczne, rzewne. Gdy nakoniec wyrwawszy się z jej objęć, stanęłam na progu drzwi facyatki, ogarniając ostatniem wejrzeniem tę nizką izdebkę i będącą w niej drogą postać, dziwna myśl przyszła mi do głowy. Ja, to młoda jaskułka bujająca w powietrznej fali za nadejściem rozkosznej wiosny, babka to niespokojna o los pisklęcia opiekunka, a jednak podczas gdy ta ostatnia nie miała już nic do oczekiwania wyłącznie dla siebie, była tem samem szczęśliwszą prawie od tej, która ze świetnym bukietem marzeń rzucała się w otchłań, gdzie odrazu i łzy znaleźć można.

Przybywszy na pensyę zastałam już Wielką Wandę z Ojcem. Przeszłam natychmiast do sali, gdzie Wanda rzuciła się w moje objęcia, a dalej ujrzałem poważnego, siwego mężczyznę, który rozmawiając z przełożoną obrzucił mnie wzrokiem, do jakiego przyzwyczaiłam się od dawna, a chociaż był to wzrok starca prawie, jednak nie pozbawiony uwielbienia.

— Moja przyjaciołka, mój ojciec — przedstawiła Wanda.

Stary wyciągnął do mnie ubrylantowaną rękę i palce moje po raz pierwszy dotknęły się tych chłodnych, a tak powabnych dla mnie kamieni.

— Niezmiernie się cieszę — rzekł z powagą — że pod moim dachem zamieszkają teraz dwie Wandy...

— A ty tatku przyjmiesz na siebie rolę Rytygiera — rzekła wesoło córka.

— Żadna z nas pewnie nie szukałaby śmierci w Wiśle — przerwałam śmiejąc się.

Ojciec Wandy był to mężczyzna średniego wzrostu, przyjemnej jak w tym wieku powierzchowności. Wogóle postać jego nie odznaczała się niczem wybitnem, szczególnem, podobnie jednak jak i Wanda, był ukształconym, rozsądnym i dowcipnym.

Po ukończeniu wszelkich przygotowań, podążyliśmy na stacyę kolei żelaznej.

Moja przełożona była bardzo smutną, miała łzy w oczach przy rozstaniu ze mną. Przyznać muszę, że i ja uczuwałam pewną przykrość. Tyle lat mnie wychowywała, kochając jak własne dziecko, chociaż więc ojciec Wandy czynił nam nadzieję wzajemnych odwiedzin, możliwie częstych na odległość Warszawy i Kijowa, to jednak obie patrzyłyśmy na siebie w milczeniu i smutnie. Wreszcie zatrzaśnięto drzwiczki wagonu, ostatni raz jeszcze uścisnęłam rękę przełożonej, pociąg ruszył z miejsca, a ja mimowoli upadłam na aksamitne poduszki siedzenia, pogrążając się w zadumie.

Gdym podniosła oczy, spostrzegłam wtedy dopiero, że byliśmy sami w oddziale pierwszej klasy i że oczy ojca Wandy wpatrywały się we mnie z uwagą. Wanda chcąc mnie ożywić nieco przybliżyła się zaraz do mnie, a w mojej głowie tymczasem furknęła dziwaczna, bardzo dziwaczna myśl. Czyby to być mogło, aby stary marszałek, ojciec Wandy mną się zajął?

Przecież często zdarzało się, że starcy zakochiwali się gwałtownie w młodych dziewczętach? Być kochaną przez siwego mężczyznę... w tem nie ma nic przyjemnego, zwłaszcza, gdy różne obojga położenie, gdy np. jak ja będę guwernantką u marszałka. Nie, ta myśl wydała się zbyt niedorzeczną, dlatego zaraz odrzuciłam ją na stronę.

— Daruj mi Wando, moje chwilowe rozrzewnienie — rzekłam, wyciągając rękę do przyjaciołki. — Państwo jesteście dla mnie tak dobrzy, a ja was nudzę swoim żalem, niemającym dla was znaczenia żadnego.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

MODA I CYNIZM.

Wiedeński „Frauenfeind", o którym mówiliśmy niedawno, spotkał silnego sprzymierzeńca w krytyku i estetyku niemieckim, Fryd. T. Uischerze i studyach jego o modzie, pomieszczonych najpierw w czasopiśmie „Nord und Süd", a obecnie wydanych w osobnej broszurce p. t. „Mode und Cynismus". Błaha ta rozprawa nie byłaby nawet zwróciła uwagi naszej, gdyby pismo tak poważne jak *Prawda* *) nie poświęciło jej osobnych dwóch artykułów. Co redakcyą skłoniło do tego nie wiem, w każdym razie za mylną brać musimy zasadę przyswajania nam wszelkich elukubracyi niemieckich, bez względu na treść ich i rzeczywisty pożytek, jaki przynieść mogą. Czasy, w których słowa niemieckich profesorów były dla nas rodzajem ewangelii w nauce, minęły już bezpowrotnie, a zresztą rozprawa Vischera nie ma, jak to zaraz zobaczymy, nic z nauką wspólnego.

Najpierw niemiecki reformator powstając przeciwko pojęciom cynizmu, jakie moda „w sposób uprawniony sieje dokoła", protestuje w imię estetyki i moralności, a przedewszystkiem w imię przyszłych pokoleń, które bezwstyd (?) nasz sądzić będą, przeciwko modzie sukien obcisłych. Uplastyczniając kształty ciała, uwydatniają je one w ten sposób, iż „widok tego rodzaju, wywołuje rumieniec na czoło wcale nie dziewiczo usposobionego mężczyzny." Na dowód autor przytacza: „W tych dniach, na jednej z ulic pierwszorzędnych spotkałem dziewczę, z którego twarzy i ruchów można się było domyślać, że z dobrego pochodzi domu. Suknia jej z przodu do tego stopnia była obcisłą i przylegającą, iż uwydatniała kształt każdy, zupełnie jakby ta kobieta była nagą. Policya, pomyślałem sobie, nie pozwala, aby włóczyła się po ulicach zmysłowość tak ogołocona ze wszystkiego, jak np. w zataczającym się pijaku; ztąd logicznie wypływa, że i bezwstyd nagi publicznie w sukniach ukazujący się, powinien być aresztowany. Niechęć moja stosowała się nie do dziewczyny, która widocznie bez wszelkiej złej myśli, lecz z poczuciem prawdziwie modnej wspaniałości stąpała po bruku, ale przeciwko wynalazcom i wynalazczyniom tych mód, którzy z całą świadomością chcieli mieć odzież taką i taką wprowadzili."

Oto powód do krucyaty i naukowych studyów estetycznych. Ktokolwiek ma zdrowe oczy i rzuci nimi dokoła, spostrzeże z łatwością, iż tego rodzaju przedpotopowe mody, dawno istnieć przestały. Od lat siedmiu co najmniej, nasze panie zużywają prędzej za dużo, niż za mało materyału na suknię.

Że „Prawda" nie zna się na modach, tego nie bierzemy jej wcale za złe, ale po cóż w takim razie robić zaszczyt niemieckiemu fanatykowi, rozszerzaniem jego spóźnionych o kilka lat kazań? Po cóż drukować elaboraty o cynizmie mód, których dziś nikt już nie pamięta? Jeżeli chodzi o historyę, może lepiej cofnąć się do czasów pierwszego cesarstwa lub dyrektoryatu? Wtedy żaden nie istniał cynizm. Dwa bryty materyi zszyte ze sobą, wtłaczano postać kobiecą, bryty obrębkiem przytrzymywano na ramionach i wreszcie wstążką

*) Prawda N. 9 i 10.

lub łańcuszkiem złotym przepasywano w miejscu, gdzie najmniej przepaski było potrzeba.

Możeby pełen zbytecznej prostoty strój ten, znalazł większe uznanie w oczach Vischera i polskiego jego sprawozdawcy? Zwracając się do formy, która każe damom ukazywać się na balu, z obnażonemi ramionami, cnotliwy niemiec objaśnia: „że bynajmniej nie idzie o to, aby piękne formy postaci niewieściej, nie były widziane przez nikogo,” ale zdaniem jego, należy strój ten w mniejszem tylko przywdziewać kółku, aby nie nastręczać widoku tego, masie nagromadzonych na balu starszych i młodszych panów; zapewne więc nadal wypadnie paniom brać wycięte staniki wtedy, gdy sam prof. Vischer tylko będzie mógł o przyzwoitości ich sądzić.

Wycieczki w dziedzinę starożytności, również się zagorzałemu reformatorowi nie udają. Oto upatrując główną broń niewieścią przeciwko rodowi męzkiemu w... grzywce, piętnuje ją jako środek znany w pogoni za mężami (co to za niedorzeczność, z poważnej może wyjść głowy!) i żądając zarzucenia fryzury, która „nadaje jej (kobiecie) podobieństwo do szympansa, mopsa, lub czego innego w tym rodzaju,“ każe w imię zasad piękna, odkrywać „świątynię myśli“.

Grzywka może się komuś podobać, lub nie podobać, to rzecz osobistego gustu; jeżeli jednak „w imię zasad piękna“ mamy występować, to niechżeż pan Vischer pozwoli sobie przypomnieć, iż wzory odnajdowane w starożytnej rzeźbie klasycznej, nigdy odkrytego nie miały czoła. Rzymianki szczególniej, nosiły zawsze włosy opuszczone nieco na skronie i przepaską do nich przymocowane. Nie współczesne więc kobiety wynalazły i nadały sobie te cechę zwierzęcą, nie one „sztywną szczecinę, albo pęki włosów kołtuniastych zawiesiły sobie nad czołem,“ jak się wytwornie pan estetyk wyraża, ale zwyczaj ten przekazali im i uwiecznili dłutem starożytni rzeźbiarze, w posągach klasycznych, które dotąd za wzór piękna służyły.

Że „słynny“ estetyk o tem nie wiedział, temu przestaniemy się dziwić, gdy posłuchamy tylko reformatorskich jego marzeń.

Oto chcąc bronić ludzkość od zepsucia i moralnej zgnilizny, jaką siały (przed sześciu laty) obcisłe stroje kobiece, chcąc zrównoważyć cynizm bezwstydu, który skromnym niemcom sromem pokrywa lica, każe on w wielkiem jakiem mieście ubrać trzysta kobiet według wzorów ściśle określonych i uzupełniwszy liczbę ich całym szeregiem: ojców, wujów, mężów, braci i narzeczonych, poleca im odwiedzić po kolei wszystkie magazyny. Panowie zbrojni w rewolwery, mają z lufą przyłożoną do skroni szwaczek, żądać przysięgi, iż odtąd dla wszystkich taką tylko będą szyły odzież.

Śmierć lub... strój prof. Vischera! Życie albo pieniądze, jak wołają napadający w lesie rozbójnicy.

Taki projekt wolnomyślny, mógł się wylądz tylko w doktrynerskiej, pedantycznej i zarozumiałej głowie Niemca. Wobec niego, blednie nawet rada, aby owe trzysta niewiast, parami obchodziły miasto, narażając się na pośmiewisko i gromy złośliwe, w celu propagowania sukien estetycznych.

Czytając te brednie nowatorskie, podszyte pod pozory estetyki i moralności publicznej, ma się prawie ochotę posądzać, iż p. Vischer poprzedził tylko reklamą, jakiegoś wynalazcę nowego kroju szat, który myśli w ten sposób dobry ubić interes. Dlaczego poważna „Prawda“ dała nam tę nowalią, nie rozumiemy, tak jak trudno nam pojąć manię, każącą czerpać u niemców najnędzniejsze choćby pomysły. Zapożyczać ze skarbnicy wiedzy ich, rzeczy pożyteczne, to słuszne, ale brać nędzoty, czyż warto? Projekt zaś rozbijania i uśmiercania modystek rewolwerami, musi się wydać śmiesznym każdemu kto nieopancerzony pychą teutońską, pragnie sobie i innym zachować swobodę pomysłu i wykonania w pracy, wolność przekonań w drobnostkach nawet, bo ona tylko jest celem i wyrazem prawdziwego postępu. *K.*

TEATR.

Szczęście małżeńskie, komedya A. Valabregue, przetłomaczona z francuzkiego przez pannę Wandę Barszczewską.

Pan Valabregue jest podobno młodym i dopiero początkującym pisarzem, rzecz więc dziwna, że będąc Francuzem, wziąwszy małżeństwo za przedmiot swojej pracy, dał nam obraz dramatyczny, pełen życia, dowcipu i wdzięku naturalnego. Nie ma w nim ani kawałeczka skandalu, ani dwuznacznika, realność a raczej prawda wszystko przenika, a jednak całość pociąga, usta skłania do śmiechu i wywołuje wnikanie w siebie bardzo zbawienne. Treść prosta, nie ma w niej żadnej intrygi, jest więc to obraz zdjęty wiernie ze stadeł małżeńskich i tak zręcznie ułożony, że ciekawość widza utrzymuje w ciągłym podrażnieniu.

Są więc tam państwo Bonnewal para najzacniejszych staruszków, którzy żyjąc z sobą w najprzykładniejszej zgodzie, niepojmują, że mogą być małżeństwa z siebie niezadowolone. Otóż państwo ci mają trzy córki, dwie już mężatki a najmłodsza Marta jeszcze panna o którą stara się doktor Chauvel i zostaje wreszcie jej narzeczonym.

Państwo Bonnewal uradowani nowym w przyszłości zięciem, cieszą się spodziewanem szczęściem swego dziecka, raduje się i Marta a wtem wbiega najstarsza córka Janina Tawerny w największej irytacyi skarżąc się na męża, że jest złośnikiem, brutalem i ostatnim niegodziwcem, gdyż suknię jej prześlicznie odrobioną i kosztowną wyrzucił za okno.

Tak było rzeczywiście, ale Tawerny uporem małżonki do tego niejako był zmuszony, gdyż pani Janina, nie mogła pojąć, że mąż pragnie ją mieć dla siebie a nie dla balów, rautów i wizyt w których musi jej uczestniczyć i jakie codziennie bez przerwy praktykowane już mu stanęły kością w gardle. Prosi ją więc i błaga, aby choć jeden dzień poświęciła wypoczynkowi i została w domu, małżonka także prosi i błaga, aby jej wolę spełnił, a że to nie poraz pierwszy się dzieje, pani zaczyna się gniewać, to samo małżonek i od słowa do słowa w powstałej ztąd burzy, rozgniewany małżonek do najwyższego stopnia, suknię wyrzuca za okno.

Straszna to zbrodnia! Z tak] wielkim niegodziwcem dalsze życie niepodobne, Janina więc postanawia opuścić męża i pozostać u rodziców z żądaniem przeprowadzenia rozwodu.

Zaledwie państwo Bonnewal cokolwiek ochłonęli z przerażenia, wbiega druga córka Łucya Bertrand równie rozgolgolona, która ma rozmaitego rodzaju zachciewki i jest najzupełniej przekonana, że mąż wszystkie jej podobne widzimisia winien spełniać bez wahania.

Naturalnie i Bertrantowi taka uległość zaczyna się przykrzyć, opiera się, odmawia, Łucya gniewa się, dokucza, śpilkuje i znów powstaje gwałtowna burza, która przygania ją do domu rodziców, ze skargą na ustach i z zaklęciem, że dalej z mężem żyć nie może i idzie do rozwodu.

Marta z oskarżeń tych przekonawszy się, jak siostry jej są nieszczęśliwe, postanawia nigdy nie wychodzić za mąż, a przynajmniej dopóki powaśnione pary nie pogodzą się i w tym celu zwraca narzeczonemu pierścionek zaręczynowy.

Mimo tych wrogich postanowień jednych względem drugich, wszystkie te osoby są jak najpoczciwsze, z miłości prawdziwej pobrali się, kochali się i kochają zawsze jednem uczuciem, żałują swego poróżnienia, radziby jak najprędzej pogodzić się bo czują, że dzieli ich tylko popędliwość, brak gruntownego zastanowienia się i wzajemnego wniknienia w swe usposobienia.

I swary te byłyby się bardzo długo ciągnęły i może nigdy nie przyciszyły, gdyby nie Tawerny, który najpierw ochłonął w rozdrażnieniu i oprzytomniawszy postanowił wszystkim otworzyć oczy i powrócić zgodę tak szkaradnie zerwaną. Za pomocą więc doktora Chauvel narzeczonego Marty i zręcznie podsuniętych listów, urządza małą intrygę pomiędzy swoją żoną, Bertrantem i żoną jego Łucyą, z czego rozbudza się zazdrość a przez nią rozwiązanie sztuki ogólną zgodą wszystkich i żalem, że się w nieporozumienie uwikłali.

Gra artystów była bardzo dobra: panny Czaki i Wisnowska jako małżonki były wybornemi grymaśnicami; panna Trapszówna jako Marta pełna naiwności i wdzięku naturalnego; pani Niewiarowska z panem Ostrowskim, dobrze przedstawiali dwoje poczciwych małżonków zakłopotanych awanturami swych dzieci, a panowie: Tatarkiewicz, Szymanowski i Wolski grali z życiem i komiką trzymaną zawsze w szrankach właściwego ról swych pojęcia.

Panie młode tylko zawsze z głosem swym nie mogą przyjść do ładu... piszczą straszliwie i mówią za prędko, co przy cienkim tonie mowę ich podwójnie robi niezrozumiałą.

Gdy mówią wprost do widzów to jeszcze pół biedy, ale jak tylko zwrócą się do nich boczkiem albo plecami, urżnij szyję, nic nie dosłyszysz oprócz dźwięku słów i sylab niektórych.

Wolniejsze mówienie znacznieby mowę poprawiło i pisk jej bardzo zmniejszyło. A godzi się o tem pomyśléć, gdyż tak szybkie mówienie, jakiem dość często obdarzają nas młode artystki jest nienaturalne, a jeżeli u pewnych jednostek zdarza się, to stanowi wadę, którą tylko w wyjątkowych razach przedstawiać na scenie można.

G.

POGRZEB
zwłok ś. p. J. I. Kraszewskiego.

Według ułożonego programu w dniu 18 b. m. odbył się w Krakowie bolesny obrzęd pochowania zwłok ś. p. J. I. Kraszewskiego, o czem zaraz na drugi dzień, prasa peryodyczna codzienna szczegółowe ogłosiła sprawozdania.

Ceremonia ta religijna, w której udział wzięło całe miasto i przybysze z różnych stron Galicyi i obczyzny, przeprowadzoną została z największą uroczystością, godną swego przeznaczenia.

Orszak pogrzebowy już rano rozciągnął się długim szeregiem, a ulica św. Jana, rynek, wszystkie okna kamienic, nawet dachy, roiły się głowami zebranego tłumu. Z wielu okien wywieszono czarne chorągwie, a ile można było okiem sięgnąć, powiewały chorągwie cechów krakowskich kirem pokryte.

W podziemiu kościoła księży Pijarów, znajdowała się zebrana cała rodzina zmarłego, a gdy ksiądz kanonik Matzke wraz z duchowieństwem odprawił modlitwy, wyniesiono zaraz trumnę i ustawiono ją na marach, w najbliższem otoczeniu zapanowała cisza, odkryto głowy i przemówił prezes Akademii umiejętności, biorąc za godło własne słowa zmarłego:

„Bóg niech czyni z ciałem co wola Jego; z duszą co łaska, a z pamięcią co sprawiedliwe.”

Po przemówieniu streszczającem cały ogrom zasług zmarłego męża, wyruszył wspaniały orszak ku kościołowi Panny Maryi w porządku następującym:

1) Pluton straży ogniowej ochotniczej.
2) Cechy i stowarzyszenia rękodzielnicze z chorągwiami i insygniami.
3) Towarzystwo „Sokół”.
4) Stowarzyszenia akademickie.
5) Zbór izraelicki.
6) Artyści dramatyczni.
7) Magistrat m. Krakowa.
8) Towarzystwo strzeleckie.
9) Konkregacya kupiecka.
10) Towarzystwo tatrzańskie.
11) Towarzystwo techniczne.
12) Koło literacko-artystyczne.
13) Stowarzyszenia i spółki przemysłowo-handlowe.
14) Izba przemysłowo-handlowa.
15) Kolegium adwokatów i notaryuszów.
16) Towarzystwo lekarskie.
17) Reprezentanci dziennikarstwa i literaci.
18) Rada m. Podgórza.
19) Delegacye rad miejskich.
20) Rada pow. krakowska.
21) Delegacye rad powiatowych.
22) Towarzystwo rolnicze.
23) Duchowieństwo.
24) Niosący ordery zmarłego.
25) Ciało zmarłego niesione na marach.
26) Rodzina zmarłego.
27) Delegat wydziału krajowego p. Milieski.
28) Akademia umiejętności.
29) Rada m. Krakowa.
30) Komitet pogrzebowy.
31) Dwa plutony straży ogniowej.

Każdą z instytucyi w pochodzie udział biorącą poprzedzały wieńce przez nią ofiarowane.

Orszak wszedł następnie do kościoła Najświętszej Maryi Panny, gdzie nabożeństwo żałobne odprawił ks. biskup Dunajewski, a mowę pogrzebową wypowiedział ks. prof. Chotkowski.

Przy ulicy Skałecznej zdjęto zwłoki z karawanu i na marach przeniesiono do grobu zasłużonych na Skałce.

Po odbytym obrzędzie kościelnym przemówił prezydent miasta, dr. Szlachtowski.

Następnie zabrał głos delegat rady miejskiej lwowskiej, prof. uniwersytetu dr. Roszkowski, po nim przemówił Adam Pług.

Po skończonych przemówieniach odczytał ks. kanonik Polkowski następujący dokument:

„W Imię Pańskie Amen. Ku wiecznej pamięci potomnym zapisuje się, jako w dniu 18-ym Kwietnia R. P. 1887-go, w poniedziałek po niedzieli przewodniej, w Krakowie na Skałce u św. Michała, po uroczystym pogrzebie, kosztem miasta Krakowa sprawionym, złożono zwłoki ś. p. Józefa Ignacego Kraszewskiego, urodzonego w Warszawie 29-go Lipca 1812-go roku, a zmarłego w Genewie dnia 19-go Marca 1887-go roku. Działo się to wobec niżej podpisanego komitetu pogrzebowego, rodziny i licznego współudziału obywatelstwa.”

Dokument ten na pergaminie drukowany, w szklanej puszce włożono do trumny.

Na tem zakończyła się o godzinie 3 i pół ta żałobna uroczystość, z którą jednocześnie odbyły się nabożeństwa żałobne, w Poznaniu, Lwowie, Dreznie, Peszcie, Wiedniu i Pradze czeskiej.

Nabożeństwo żałobne za duszę J. I. Kraszewskiego, staraniem drukarzy warszawskich, odbyło się w dzień pogrzebu w kościele Opieki św. Józefa.

W środkowej nawie świątyni ustawiono katafalk otoczony kwitnącemi kameliami i szeregiem drzew pomarańczowych. W głowach trumny ustawiony był biust zmarłego pisarza, a niżej jego portret wykonany sposobem drukarskim.

Nabożeństwo odprawił ks. Dębowski w asystencyi sześciu alumnów.

Amatorowie i artyści pod kierunkiem pana Deutschmana wykonali mszę żałobną Moniuszki. Modlitwę na „Benedictus“ odśpiewał p. Kwieciński, śpiew solowy na „Offertorium“ p. Lewański, psalm pokutny p. Marszałkowska, na zakończenie zaś wykonano marsz Nideckiego.

Kościół przepełniony był publicznością.

WIADOMOŚCI
z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Z początkiem bieżącego kwartału, *Świt* pismo dla kobiet przeznaczone, jak wiadomo przestał wychodzić. W „Kraju“ petersburgskim pan Antoni Mazanowski, żalem przejęty, rozpisał się o upadłem czasopiśmie dość obszernie; „Kuryer Codzienny“ w osobie pana *s.* krócej ale oba się zgodzili, że z upadkiem *Świtu* powstała luka i potrzeba zapełnienia jej na nowo, i że przyczyną niepowodzenia być może iż są same panie, które po za dziedziną mód nie dojrzały jeszcze do tej miary, jaka czyni potrzebnem posiadanie własnego organu.

Określenie to tak wyrafinowanie grzeczne, w zwyczajnej prostej mowie otrząśnięte z pstrocizny przedpokojowej dyplomacyi, znaczy ni mniej ni więcej, jak tylko to, że *Świt* był za mądrym dla ciasnych głów naszych kobiet, że podobne jemu organa jak np. nasz Tygodnik, nędznym jest sfistkiem wobec upadłej wielkości szczycącej się zapewne współpracownictwem p. Martynowskiego i s małego i że wreszcie *Świt* upadł przygnieciony ciężarem własnego rozumu, niemogąc go żadnym sposobem przelać w zakute głowy swoich czytelniczek.

Wprawdzie w usprawiedliwieniu jego powstania obietnic nieszczędzono, jakie to dobro dotąd niesłychane i niewidziane spadnie na przyszłe czytelniczki *Świtu*, jak rość będą w bogactwo pracy, zarobku, własnej godności, w rozum i naukę o jakich dotąd nie mają nawet wyobrażenia. Krzyczano przytem na różne tony z wykrzyknikami i bez nich: zbudź się kobieto! ocknij się! powstań! porzuć drzemkę! Patrz jakie ci to skarby dajemy niesłychanej mądrości, czytaj, sądź i podziwiaj!

A i czytano i sądzono tylko nie podziwiano i wprędce poznano, że owo: zbudź się! to nic więcej tylko najprostsza reklama, to brzęk słów pustych, liberya spekulacyi, pragnącej chciwość zysku podsunąć pod sztandar jakiejś wielkiej idei z obsłony starej gnuśności dziś dopiero na jaw wydobytej.

Na lep nietylko muchy i ptastwo się łapie ale i ludzie

Złapani zawiodłszy się w oczekiwaniu czegoś nowego i niezwykłego, mającego się wykluć z obietnic przez Świt niby kokosz wysiedzianych, zaczęli coraz liczniejszemi opuszczać go szeregami, tak że w tym roku pozostało przy nim tylko... sześćdziesięciu czytelników. Jest to cyfra do jakiej nigdy żadne bankrutujące pismo u nas nie doszło. I nie mogło być inaczej.

Świt bowiem owem: zbudź się kobieto! sam nie wiedział czego chce. Jeżeli miało to znaczyć: czytaj! to któż u nas główną dźwignię literatury peryodycznej stanowi jeżeli nie kobiety? Jeżeli miało znaczyć rozbudzanie do pracy, zabiegu, do obywatelskich posług, do rozsiewu cnót wszelkich, do oszczędności, gospodarstwa domowego i podnoszenia własnej godności, to czyż jest choć jedna u nas kobieta inteligentna, coby w zbawienność tego wszystkiego nie wierzyła? Czyż jest choć jedno Pismo coby tego nie zalecało?

Wydawnictwo też *Świtu*, w myśl owego: zbudź się! nie miało racyi bytu. Wyrażenie to zaciekawiając w prospekcie, w praktyce pokazało się mydlaną bańką do niczego nie prowadzącą, a wepchnąwszy Pismo na drogę przez nikogo jasno niepojętą a pragnąc go gwałtem na niej budzić i budzić bez końca, zaczęło redaktorki męczyć, Pismo robić ckliwem, wreszcie najokropniej nudzić czytelniczki, które zawiedzione i znudzone, dały wreszcie za wygranę i uciekły od niego nawet się po za siebie nieoglądając.

Luka zatem z upadkiem Świtu żadna się w literaturze naszej peryodycznej nie zrobiła, a panie właśnie dały dowód dojrzałości, gdy go oceniły tak jak zasługiwał.

Zarządy zdrojowisk położonych w granicach cesarstwa niemieckiego są wytrwałe.

Pomimo niepowodzenia jakie spotkało je w r. z. próbują nas skokietować i teraz wobec zbliżającego się sezonu leczniczego.

Z takich zdrojowisk jak: Landeck i Warmbrunn (na Szlązku), kilku lekarzy otrzymało uprzejme zaproszenia o wysyłanie pacyentów.

Zaproszenia te pisane są po polsku i to wcale poprawnie.

Szczególniej końcowy ustęp inwitacyi jest charakterystyczny, więc dosłownie go cytujemy:

„Nie wątpimy, iż z poręki W-go Pana zyskamy pacyentów, za co postaramy się sowicie (?) wywdzięczyć."

Wygląda to na obietnicę... łapówki, czy też pogłównego od przysyłanego pacyenta.

Lekarze nasi z pewnością nie dadzą się złapać na takie obietnice, które nawet ze stanowiska etyki lekarskiej są ubliżającemi.

Sława bab wielkanocnych warszawskich rozchodzi się daleko. Dowodem tego znaczne obstalunki otrzymane z Petersburga, skutkiem których wyprawiono za pośpiesznym frachtem kilka transportów.

Wątpić należy, aby gdziekolwiek *baby* równym zaszczytem pochlubić się mogły.

Astronom japoński, Peretto Weratu, który w przejeździe z Wiednia do Petersburga bawił w Warszawie, jest ożeniony z polką, panną Omińską, córką wychodźcy, mieszkającego w Antwerpii.

Uczony japoński zaślubił pannę Omińską przed trzema laty i za zgodą swego monarchy przyjął wówczas wyznanie rzymsko-katolickie.

W obecnej podróży pani Peretto-Weratu nie towarzyszyła małżonkowi i pozostaje w Jeddo.

Rodaczki nasze mają dziwne szczęście do Japończyków, jedna z nich bowiem, panna Wierniewska, podolanka, przed kilku laty zaślubiła lekarza japońskiego d-ra Ogata.

Juljan Piątkowski, zamieszkały w Londynie zbudował ulepszoną maszynę do wyrobu pigułek aptekarskich. Nowa maszyna jest w możności wyrabiać od 200 — 400 pigułek w jednej minucie.

D-r Henryk Gierszyński, lekarz w Quarbille (dep. Seine et Loire) i dr. Cypryan Czajewski z Orleanu, otrzymali jak widać ze sprawozdania paryzkiej akademii medycznej, medale bronzowe od komisyi hygieny dzieci.

Wynalazek. Niedawno w jednym z największych zakładów machin w Paryżu (Gouin) wobec licznych specyalistów robiono próby machiny parowej nowego systemu. Jest to wynalazek pana Stanisława Pokutyńskiego, inżeniera. Obecni przyglądali się z zajęciem modelowi, którego weryfikator wykazywał zwiększoną ilość obrotów i zupełną swobodę ruchu. Motor nowy przedstawia tę wartość, iż do każdej machiny użytym być może bez zmiany konstrukcyi, nadto funkcyonuje za pomocą wody, pary i ciśnienia powietrza lub rozrzedzonego gazu. Wynalazca model złożył w muzeum *des arts et métiers*, jego zaś podobiznę przysłał obecnie do Krakowa.

Oryginał amerykański. W Denver istnieje czyściciel butów, Pat Higgins, który skromnem rzemiosłem zarobił sobie już majątek, wynoszący 100 tysięcy dol. i mimo to, dalej czyści buty sprzedając przytem gazety. Córki jego kształcą się na najpierwszej pensyi w Chicago. Higgins karyerę swoją rozpoczął w Nowym-Jorku, gdzie na rogu Broadway miał stanowisko. Obecnie prowadzi swój „interes" na wielką skalę, ma znaczną liczbę pomocników i filię w Tombstone (Arizona).

Takiemi oryginałami mogą być tylko Amerykanie, synek, jeżeli go posiada, z pewnością w prostocie życia ojca nie zechce naśladować.

Volapük owa powszechna mowa, która ma być podstawą zbratania się wszystkich ludów kuli ziemskiej, zyskuje coraz większe prawo obywatelstwa. W Wiedniu otwarte zostały kursa nauki tej błogosławionej mowy, w tych dniach odbył się już nawet pierwszy egzamin publiczny *volapükistów*, a profesor Kirchhoff w Halle, wydał książkę o *volapüku*. Reguły gramatyczne są możliwie proste, ale język sam brzmi dziwnie; np. Wielkanoc-*lezustanazäl*, Zielone Świątki-*tikälazäl*, Boże narodzenie-*lemolöfazäl*; wiosna-*flolatim*, lato *itati*, jesień-*flukati*, zima-*nifatim* i t. p.

W Wiedniu nauka „języka powszechnego" odbywa się obecnie w siedmiu kursach równoległych, na które uczęszcza do 2,000 mężczyzn i kobiet. Kursa otwarte w r. 1885 przez prof. Kerckhoffsa przy paryzkiej *Ecole des hautes études commerciales*, tak się niebawem rozwinęły, że otworzyć musiano 19 osobnych klas volapüku, które ledwie zdołały pomieścić tłumnie zgłaszających się uczniów. Właściciel słynnego na cały świat *Magasin du Printemps*, p. Jazalot, wyuczył się volapüku wraz ze swoimi 121 subjektami; do stowarzyszenia nowego języka należy dzisiaj wielu najcelniejszych przedstawicieli handlu i przemysłu w Paryżu. Po 8 — 10 godzinach nauki uczniowie prof. Kerckhoffsa korespondować mogli już volapükiem z Węgrami, Szwecyą, Hiszpanią, Rossyą, Holandyą, Chinami, Syryą, Ameryką i t. d.

Elektryczną kartaczownicę wynalazł pewien Belgijczyk i otrzymawszy patent, przedstawił plany, rysunki i modele rządowi belgijskiemu.

Nowo wynalezione działo wyrzuca 9 pocisków i niszczy pancerniki, okręty wojenne i łodzie torpedowe; niemniej ma być także nieporównanem pod względem obrony wybrzeży, rzek i fortyfikacyi.

Decyzya belgijskiego ministra wojny w kwestyi nowego działa jeszcze nie nastąpiła.

Widać że pokój coraz większej nabiera pewności a cywilizacya wzrasta i potężnieje.

Oryginalny zakład rozegrał się w tych dniach przed jednym ze straganów z rybami, za Żelazną Bramą.

Sława naszych przekupek słynie szeroko, to też zgadało się w tych dniach, w pewnem wesołem kółku męzkiem o oryginalnym słowniku tych dam.

— Rozruszać im buzię, jakiemś nieostrożnem odezwaniem się uważanem za ubliżenie dla godności osobistej, lub towarów, to jeszcze nie sztuka, ale ja założę się z wami, iż doprowadzę babę jaką do wściekłości, nie wymówiwszy ani jednego zrozumiałego dla niej słowa — odezwał się jeden z obecnych, młody filolog N.

Po żywej sprzeczce zakład stanął dosyć wysoki i nazajutrz rano, było to właśnie w piątek, N. z daleka śledzony przez uczestników zakładu, udał się za Żelazną-Bramę.

Po chwili zatrzymał się przed pokaźnych rozmiarów jejmością „z rybami" i bez wymówienia słowa zaczął od wykonywania za pomocą nosa, różnych gestów, wyraźnie okazujących wstrętny zapach ryb mieszczących się w baljach.

Na widok ten „rybiarka„ fuknęła na niego wcale nie wyszukanemi przydomkami, w odpowiedzi na co N. odezwał się donośnym głosem:

— Dalibyście pokój, artykulo!

— Nie większy od ciebie — wykrztusiła z oburzeniem.

— Nominativus z was.

— Ty, ty, ty, — jęczy oniemiała ze złości baba, wygrażając już gniewnie pięściami.

— Verbum adverbium, adjektivum ciągnie N. uroczyście dalej.

Tego już było za wiele dla nieszczęśliwej zelżonej, która padając jakby nawpółomdlała na swe siedzenie, głośno zawyła aż z płaczu, że ośmielono się obrazić ją takiemi wymysłami! N. uważał jednak za stosowne ulotnić się szybko, przed grożącą mu burzą i pośpieszył za śmiejącymi się od rozpuku towarzyszami do handelku.

* * *

Humorystyczny afisz.

Pan S. zapalony zbieracz wszelkiego rodzaju teatralnych afiszy, okazał nam jeden drukowany żółtą farbą a brzmiący w te słowa:

„Bez pozwolenia Wuja Gminy, Dziwny teatr. Dziś Poniedziałek d. 8 kwietnia r. 1839, Truppa koczująca, w przejeździe z Warszawy do Buska, na obchód uroczystości imienin Jaśnie Wielmożnej Dziedziczki Dóbr Rudy, jako hołd wdzięczności za znoszenie cierpliwie tyle hałasów, będzie miała honor udawać, że gra Krętowilę w dwóch aktach, w Warszawie nazywaną „Bankocetle Pzecięte".

Osoby: Fryderyk Belmont — Podróżny aktor incognito. Adolf Wiktoryn — pan Szarmancki, Julja — pryma bona, Tekla — Jagna z Warszawy, Eliza — Zelia, Szapsa Muc żyd, oberżysta — Wysocki aktor dający nadzieję, że będzie jeszcze większym, Pisarz Burmistrza—Anonimus.

Rzecz dzieje się w Czerniejowicach, ale to udanie bo grają w Rudzie.

Cena miejsc: 1-sze miejsce — lekki uśmiech, 2-gie miejsce—ziewanie, 3 cie miejsce — drzemanie, paradyz — smaczny sen. Więcej miejsc nie ma dla natłoku ciekawych, bo nawet z Warszawy poprzyjeżdżali.

Zacznie się godzinę za późno, skończy godziną za wcześnie. Pochwały chociaż niezasłużone z wdzięcznością się przyjmują. Gwizdać pod karą niełaski zabrania się, śmiać się do rozpuku wolno nawet na scenie. Uprasza się nie słuchać suflera,

chociażby głośniej krzyczał niż aktorowie. Liberya chociażby bez biletów ma miejce na plecach służących."

* * *

W jednym z sądów Ameryki, zapytuje sędzia:

— Ile panu ukradziono?

— Dwa tysiące dolarów.

— Jakim sposobem miałeś pan przy sobie tak znaczną sumę?

— Chciałem właśnie kupić partyę bawełny.

— Trzeba być istotnie waryatem — mówi na to sędzia, wzruszając ramionami — aby w tych czasach kupować bawełnę. Czyś pan zastanowił się nad tem?

— Nie czekając na odpowiedź, sędzia zwraca się do oskarżonego:

— No a cóż pan zrobiłeś ze skradzionemi pieniędzmi?

— Kupiłem partyę wędzonej wieprzowiny.

— To co innego, taka spekulacya jest rzeczywiście dobrze pomyślaną — mówi z uśmiechem zadowolenia kapłan Temidy, a zwracając się do powoda rzecze:

— Wstydź się pan, tamten człowiek sto razy jest godniejszym darów fortuny, a pieniądze pańskie w dobre dostały się ręce.

* * *

Miłość i szelki.

Wiadomo jest, że prezydent Stanów-Zjednoczonych p. Cleveland przed niedawnym czasem poślubił urodziwą siostrę dawnege swego towarzysza, a małżeństwo to, pomimo znacznej różnicy wieku, należy dotychchzas do najszczęśliwszych. W ubiegłym tygodniu pan prezydent obchodził 50-tą rocznicę swoich urodzin, a młoda małżonka wyhaftowała mu, jako podarunek, parę szelek, używając do haftu własnych włosów zamiast jedwabiu. Na każdej szelce widnieje haftowany napis: „Memu ukochanemu mężowi w dniu 25-rocznicy urodzin." Jest to mały wybieg kochającej a pragnącej się przypodobać żony, która niezbyt młodego męża czyni 25 letnim młodzieńcem, niekłamiąc przytem, albowiem należy tylko dodać cyfry na każdej szelce umieszczone, a będzie 50.

* * *

Odrzucony podarek.

Pewien kupiec zamieszkały we Frankfurcie nad Menem, przysłał niedawno cesarzowi Wilhelmowi prześliczny jedwabny szlafrok i prosił zarazem o udzielenie mu tytułu dostawcy cesarskiego dworu. Po kilku dniach przecież otrzymał swój podarek z kancelaryi marszałka dworu napowrót, z lakonicznym napisem: „Hohenzollernowie nie noszą szlafroków."

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Wydane nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa.

Z wycieczki na wschód, notatki dziennikarza przez Antoniego Zaleskiego.

Święty Jur, powieść współczesna przez Jana Zacharjasiewicza. Tomów trzy. Cena rubli sr. 2 kop. 40.

Męczennica na tronie, opowiadanie historyczne przez J. I. Kraszewskiego. Dwa tomy rs. 2.

Poruszymy z posad ziemię! Powieść w 4-ch częściach przez Maurycego Jokaja. Cena rs. 1 kopiejek 80.

Na Paryzkim bruku, powieść przez Wołodego Skibę. Tom jeden. Cena 60. kop.

OD REDAKCYI.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądania zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

☞ **Tom siódmy seryi drugiej pism Alberta Wilczyńskiego, już wyszedł z druku i obejmuje:**

GALERYA DYLETANTÓW:

Świetne interesa. — Turysta z Gilowa.

Wydawnictwo to, redakcya przeznaczyła na **premium nadzwyczajne** dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum, bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*

za tom kop. **60**; za tomów 12 rs. **7** k. **20**

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom kop. **70**; za tomów 12 rs. **8** k. **40**

Dla nieprenumerujących Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*

za tom rs. **1** k. **20**; za tomów 12 rs. **14** k. **40**

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom rs. **1** k. **30**; za tomów 12 rs. **15** k. **60**

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Chmielna Nr 26 nowy.

ZAWIADOMIENIA.

PRZYJACIEŁA DZIECI

numer 18 wyszedł z druku i zawiera:

James Watt. — Poranek wiosenny (wiersz) — Hetmański piastun. — Grenlandya (z drzew). — Nadmorska osada we Francyi (z drzew). — Z sierocej doli. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Opowiadanie o kogucie Szałapucie. — Wiktorek i Nastka (wiersz). — Ibis czczony (z drzew.). — Powitanie bocianów (wiersz). — Prawdziwe zdarzenie. — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Апрѣля 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).



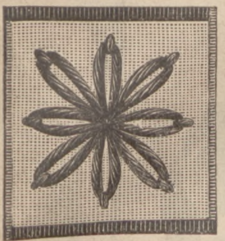
N. 2. Desenik na robotę szydełkową, do ryc. 10.

Opis do N-ru 17.

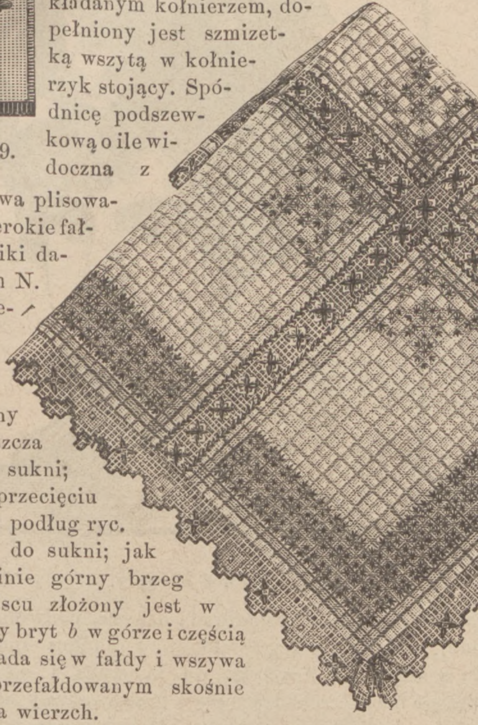
(*Dokończenie*).

N. 20. Suknia z odmiennym stanikiem. Patrz rycinę 21 w N-rze 16.

Przy wełnianej spódnicy brązowej w kratę białą z pąsowym włożony stanik z piaskowego sukna, wycięty u dołu w patki 7 cent. długie, 5 cent. szerokie i objęty w około brzegów wełnianą pletnią. Wykrój szyi otoczony wykładanym kołnierzem, dopełniony jest szmizetką wszytą w kołnierzyk stojący. Spódnicę podszewkową o ile widoczna z pod tuniki pokrywa plisowanie, złożone w szerokie fałdy. Wymiar tuniki daliśmy w przeszłym N. na ryc. 21; przedni bryt *a* u góry sfałdowany i wszyty w pasek, z boków sfałdowany do 42 cent. wpuszcza się w tylne szwy sukni; przy bocznem przecięciu fałdy układają się podług ryc. 20 i przyszywają do sukni; jak to widać na rycinie górny brzeg bryta w tem miejscu złożony jest w kontrafałdę. Tylny bryt *b* w górze i częścią z lewego boku układa się w fałdy i wszywa w pasek, wraz z przefałdowanym skośnie rogiem prawym na wierzch.



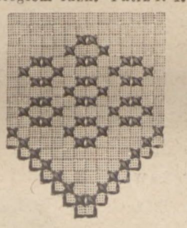
N. 4. Rzucik do r. 9.



N. 5. Serweta z wyszyciem ściegiem luźn. Patrz r. 4.

N. 21. Ubranie dziewczynki lat 3—5.

Sukieneczka z dyagonalu granatowego gładkiego i w kratę białą; niebieską i pąsową otwarta z przodu, odsłania kamizelkę, przemarszczoną kilkakrotnie w górze i na wcięciu stanu. Spódniczka 258 cent. obwodu mająca, 25 cent. długa; złożona z przodu w pojedyncze, z tyłu w podwójne kontrafałdy; na nią spadają patki 9 cent. szerokie, ścięte w ząb, które przy plecach krają się w jednym ciągu ze stanikiem, z przodu przyszywają szwem odwracanym; wszystkie patki z wyjątkiem dwóch bocznych gładkich, są z materyału w kratę na gładkiej podszewce. Ranwersy przednie i mankiety są 7 c. szerokie; pasek z pąsowej wstążki atłasowej 3 cent. szerokiej, związanej z boku w kokardę.



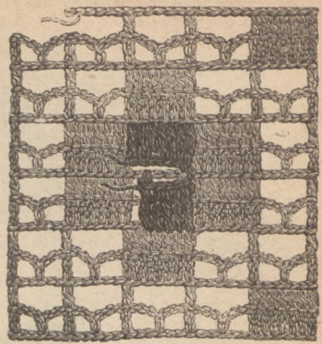
N. 8. Desenik na koronkę do ryc. 9.

N. 24. Sukienka plisowana dla dziewczynki. Patrz ryc. 19 w N-rze 16.

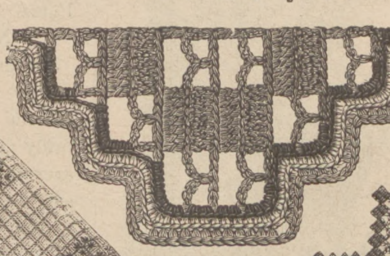
Uszyta z granatowego dyagonalu z przybraniem białem, ma stanik z plecami krajanemi o 11 cent. dłużej od boczków i pleców, plisowana kamizelka widoczna jest na 5 cent. szeroko; przody przypięte są na niej w odstępie $5^1/_2$ cent. od brzegów. Plisowana spódniczka 36 cent. długa, 325 cent. szeroka u dołu objęta na $2^1/_2$ cent. szeroko plisą białą, przestębnowaną dwa razy niebiesko. Rękawy zakończone tak samo; w pasie przewiązana pletnia $7^1/_2$ c. szeroka zakończona pomponami.



N. 1. Ząbki szydełkowe do ozdoby półeczek w kredensie. Patrz ryc. 11.

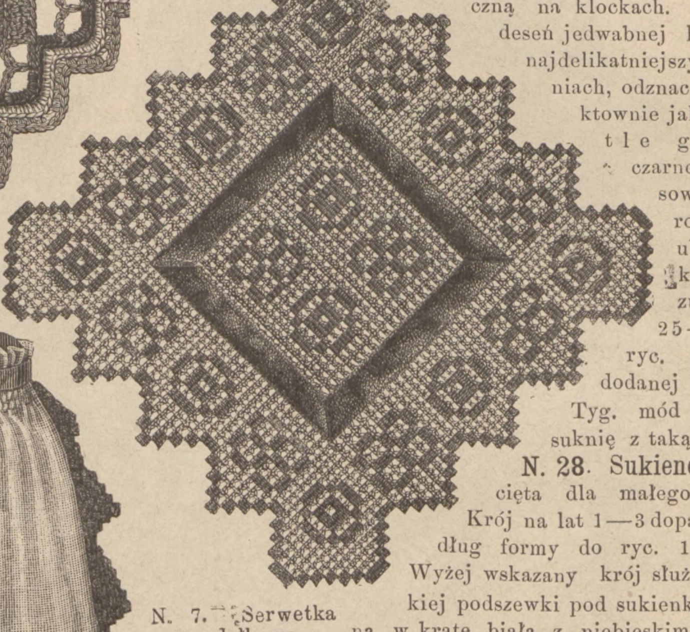


N. 3. Wszywka szydełk. do r. 10.



N. 6. Ząbki szydełkowe do ryc. 9.

N. 25—26 i 34. Suknie przybrane koronką polychrome (różnokolorową). Rycina 34 przedstawia w naturalnej wielkości wzór koronki wykonanej sposobem włoskim, robotą ręczną na klockach. Wypukły deseń jedwabnej koronki w najdelikatniejszych cieniach, odznacza się efektownie jak haft na tle gipiurowem czarnem. Zastosowanie koronki do ubrania sukien wskazują ryciny 25—26; na ryc. kolorowej dodanej do N. 13 Tyg. mód podaliśmy suknię z takąż koronką.



N. 7. Serwetka szydełkowa.

N. 28. Sukieneczka wycięta dla małego dziecka. Krój na lat 1—3 dopasować podług formy do ryc. 14 w N. 2. Wyżej wskazany krój służy do gładkiej podszewki pod sukienkę wełnianą w kratę białą z niebieskim; plastron zapięty z boku i plecy stanika pokryte są kilkakrotnie przemarszczonym materyałem. Spódniczka podchodząca 9 cent. pod stanik, układa się w kontrafałdy; zamiast szarfy gruby sznur z pomponami.



N 11. Desenik ząbków szydełkowych do ryc. 1.

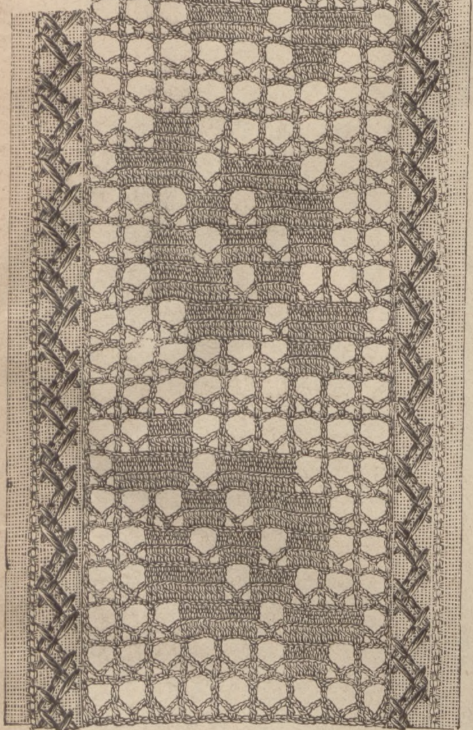


N. 10. Fartuszek z wszywką i koronką szydełkową. Patrz r. 2 r. 4 w N-rze 17.

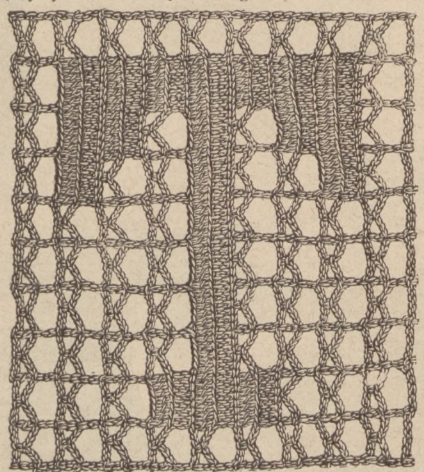
9. Fartuszek ze szlakiem szydełkowym i wyszyciem. Patrz ryc. 3 i 8.

N. 29. Suknia z długą tuniką.

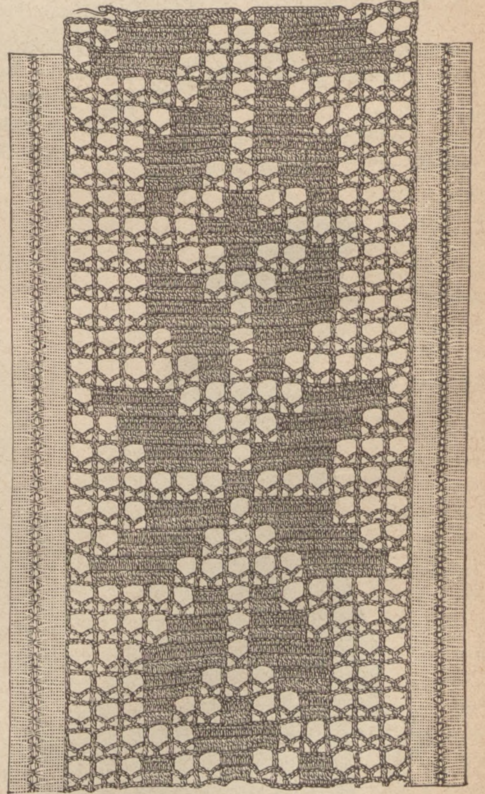
Odrobiona z kaszmiru koloru heliotropu i z takiejż materyi faille, ta ostatnia użyta na spódnicę rękawy i kamizelkę. Plecy stanika przedłużone frakowo, przody szeroko rozchodzące się, mają w górze podwójne ranwersy; przody podszewkowe zapięte niewidocznie środkiem na haftki, pokryte są gładko materyą faille, w górze zaś mają dodane oddzielnie sfałdowane części chusteczkowe. Guziki szmuklerskie mają po 4 cent. średnicy. Tunika na plisowanej spódnicy zarzucona jest z przodu w kształcie długiego, fałdzistego fartuszka, z boków przefałdowana w dwa zęby; z tyłu upięcie z brytów prostych.



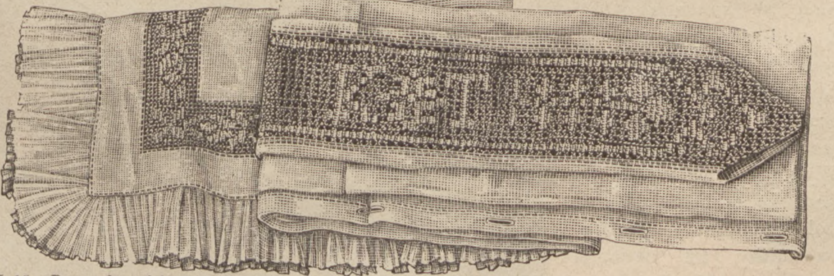
N. 13. Wszywka szydełkowa do poszewek.



N. 12. Litera wyrobiona we wszywce szydełkowej. Patrz ryc. 16—18.



N. 14. Wszywka szydełkowa do poszewek.

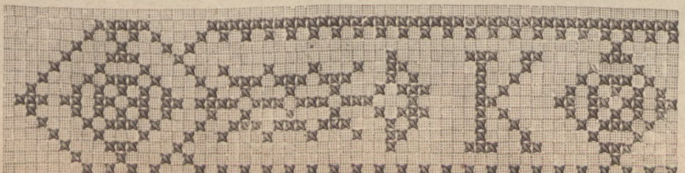


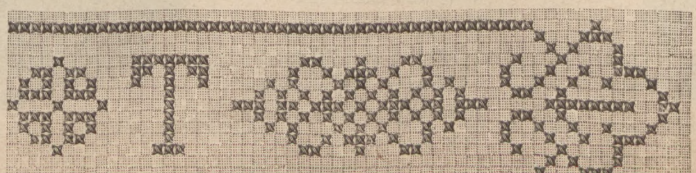
N. 15. Poszewka z falbanką plisowaną i wszywką. Patrz ryc. 13—14.

N. 16. Poszewka z wszywką szydełkową z literami Patrz ryc. 12 i 17—18.

N 30. Ubranie spacerowe z krótkiem paletocikiem.

Krótki, wcięty do figury paletocik wiosenny łatwo dopasować podług dobrej formy stanika. Rycina 30 przedstawia model z piaskowego jersey, w kratę białą z brązowym, objęty z brzegów brązową wełnianą pletnią. Kamizelka, kołnierz i kliniki na rękawach brązowe aksamitne; ozdoby





N. 17—18. Desenie na wszywkę szydełkową z literami, do ryc. 16.



N. 19. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 27.

N. 20. Suknia z odmiennym stanik. Patrz r. 21 w N. 16.

N. 21. Ubranie dla dziewczynki lat 3—5.

szmuklerskie w kształcie muszli, łączone pentlicami z plecionego sznura zapiętemi na podłużne guziki. Zapięcie paletocika dane środkiem kamizelki na kryte haftki.

N. 31. Bluzka dla dziecka.

Zarówno odpowiednia dla małego chłopczyka lub dziewczynki, uszyta z kolorowego materyału trykotowego, ma kamizelkę, kołnierz marynarski i mankiety ciemniejszego koloru. Ciemna spódniczka 26 cent. długa, ułożona w kontrafałdy 14 cent. szerokie, ozdobiona naszyciem z cienkiego sznureczka. Do sznurowania użyta pletnia jedwabna.



N. 24. Sukienka plisowana. Patrz ryc. 19 w N-rze 16.

N. 32. Ubranie dla małego chłopczyka.

Krótkie majteczki zapięte z boku, przypinają się do stanika spodniego; luźno puszczony kaftanik, zakończony 4 cent. szerokiem paskiem, ma przyszytą spódniczkę 17 cent. długą, ułożoną w kontrafałdy. Z pod szeroko otwartych przodów widać kamizelkę przemarszczoną w górze 7 cent. szeroko, w pasie 2 c. Wykłady dane wzdłuż przodów, zachodzą pod kołnierz marynarski aksamitny 13 cent. szeroki. Kamizelka związana sznurem.

N. 33. Sukienka z długim stanikiem.

Materyał wiosenny wełniany w kratę białą z piaskowym, przybrany jest brązowym atłasem i takąż wstążką. Półwcięty stanik, 42 cent. długi ma niedochodzące się przody, złączone kamizelką atłasową; plecy ścięte u dołu w dwie patki spadające na karoczko atłasowe 10 cent. długie, 40 szerokie, złożone w kontrafałdy. Spódniczka ułożona w kontrafałdy, przyszyta do podszewki stanika na 11 cent. od dołu, ma dodane z tyłu upięcie z bryta 35 cent. długiego, 50 szerokiego, z boków naszyte klapki kieszeniowe z atłasowem plisowaniem. Guziczki porcelanowe brązowe z obwódką złotą.



N. 22. Kapelusz okrągły.



N. 23. Kapotka tiul. wyszy a dżetem.

N. 35 i 43. Suknia z tuniką. Patrz ryc. 25 w N. 16.

Spódnica z jednego boku założona w dwie fałdy po 10 c. szerokie, z drugiego przybrana dwoma pasami aksamitki 10 c. szerokiej, podpiętej w dwa pukle, 80 i 100 cent. długie. Na ryc. 30 widzimy też samą spódnicę z lewego boku. Łatwa w upięciu tunika wymierzona jest podług ryc. 43; poprzeczna linia kropkowana oznacza podwinięcie dolnego brzegu tun i, podłużna środek przedni. Górny brzeg sfałdowany podług znaków, miejscami gładk wszyty w pasek, z tyłu w środku od krzyżyka do krzyżyka i od dwukropka do dwukropk złożony w dwa pukle. Brzegi boczne schodzące się z prawej strony są tylko do 24 cent. zszyt sfałdowane podług znaków i podpięte w bufę. Dalsze podpięcia są także oznaczone krzyżykami i punktami; gwiazdki wskazują miejsce przyszycia haftek, któremi tylne fałdy przypięte są na 26 cent. długiej baskinie z tyłu. Stanik ma plecy założone w sześć wązkich fałdek schodzących się do środka. Podszewka przodów zapina się w środku pod aksamitną częścią kamizelkową, krajaną w jednym ciągu z kołnierzykiem, podchodzącą brzegami pod fałdy ułożone ze zwierzchniego materyału przodów. Prawa połowa przodu zachodząca skośnie na lewą, jest u dołu założona w parę fałdek, na które dodaje się 8 cent. materyału. W N-rze 16 na ryc. 25 daliśmy oddzielnie rękaw.

Rycina 35 przedstawia strojną wizytową suknię z jedwabnej materyi bordeaux, przybranej takąż aksamitką w białe muszki.



N. 25—26. Suknie przybrane koronką kolorową *polychrome*. Patrz ryc. 34.

N. 36—37. Suknia z fałdowaną spódnicą.

Odrobiona z różowej *voile*, ma spódnicę ułożoną w szerokie podwójne kontrafałdy, z których trzy przednie zdobi rzucik haftowany ściegiem płaskim jedwabiem różowym. Z tyłu sukni dane upięcie z prostego bryta przybrane kokardami. Przybranie stanika stanowi suty żabot z szerokiej koronki, którego końce zachodzą na lewy bok stanika i przypięte są kokardą z wstążki; prócz żabotu dane paski haftowanego materyału, po za któremi idzie gładko wstążka, sięgające przez ramiona aż do wcięcia stanu, podług ryc. 36. Mankiety z wstążki i koronki.

N. 38—41. Fasony kapeluszy.

Rycina 38—41 dają modele najmodniejszych kapotek wiosennych; r. 38 przedstawia fasonik z imitacyi włosia piaskowego koloru; główka wysoko stojąca otoczona z przodu rondkiem, w środku 6, z boków 4 cent. szerokiem; brzegi w około oszyte torsadką ze świecących perełek 2 cent. szeroką. Do kapotek koronkowych powinien być fasonik z tiulu takiegoż koloru, wziętego podwójnie, jak na ryc. 41. Ryciny 39—40 dają kapotki tiulowe, z brzegami wyciętemi w zęby, wyszywane perełkami.

N. 42. Fotel zdobny aplikacyą. Patrz des. r. 24 w N. 16.

Wspaniały rzeźbiony fotel ma siedzenie i tylne wysłanie poręczy ozdobione aplikacyą podług starożytnego deseniu, którego część w naturalnej wielkości daliśmy na ryc. 24 w N. 16. Na modelu tło aplikacyi stanowił aksamit bordeaux, deseń zaś wycięty z żółtego i białego atłasu; na obwódki służy gruby blado żółty jedwab i srebrny szureczek. Ścieg łańcuszkowy i stębnówka dane filozelą zieloną w trzech cieniach. Na białym atłasie wyszycie dane kolorem niebieskim; muszki okrągłe wyszyte stalowym sznureczkiem; scieg płaski dany żółtym jedwabiem.

N. 44. Krzesło zdobne malowaniem na skórze.

Odpowiednie do stołowego pokoju, wyrobione z ciemnego dębowego drzewa ma płasko wysłane siedzenie i tylną poręcz obite żółtawą skórą z deseniem wypalanym, podmalowanym akwarellą.





N. 27. Suknia z vêtement. Patrz ryc 19.

N. 28. Sukieneczka wycięta dla małego dziecka.

N. 29. Suknia z długą tuniką.

N. 30. Ubranie spacerowe z krótkim paletocikiem.

N. 31. Bluzka dla dziecka.

N. 32. Ubranie dla chłopczyka.

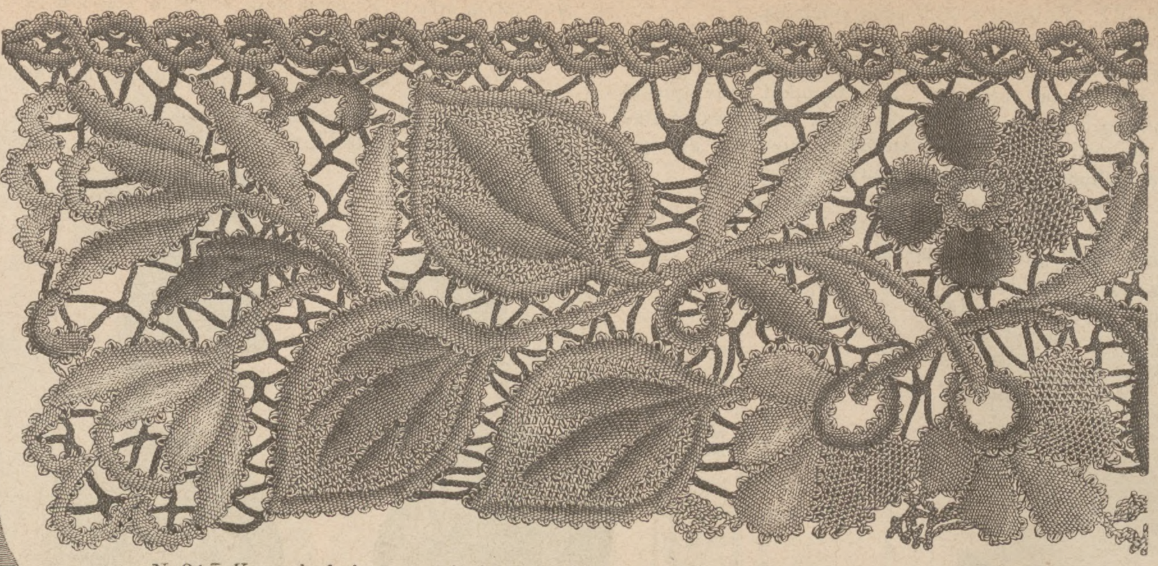
N. 33 Suk. z dług. stan dla dziew.

Opis do N-ru 18.

N. 1, 11 i 3. Płaszczyk długi przemarsz. Krój na dodatku z formami N. V fig. 25—30.

Na zgrabny płaszczyk podany na ryc. 1 i 11, dobiera się materyał stosownie do przeznaczonego celu: Do podróży najwłaściwszy będzie z miękkiego sukna, jako ochrona od deszczu z nieprzemakającego szewiotu, a od kurzu z alpagi, bastu) lub t. p. Przody (fig. 25 trzeba z brzegów przed przykrojeniem zastębnować w fałdę 4 cent. szeroką do guzików i dziurek. Plecy przykrojone razem z rękawami zeszywa się z przodami w górę tylko do *w*; zwierzchnią część rękawów i plecy trzeba w górze do odznaczenia cienką linijką kilka razy w odstępie 1 cent. przemarszczyć i naszyć pierwsze na przodach, drugie na karczku przyszytym do przodów od *p* do *g*. Koniec rękawa podwinąć od spodu w górę od *r* do *r* i od *v* do *v* a brzeg dolny wszyć razem z kołnierzem stojącym do wykroju szyi, a brzeg boczny przyszyć szwem odwracanym na przodach w miejscu linijką oznaczonem. Krótką część pleców także u dołu przemarszczonych do 10 cent. dopełnia bryt marszczony, od spodu przyszyty. Kołnierz wykładany (fig. 29) może być aksamitny

lub z tego co płaszczyk materyału. Na ryc. 3 podajemy model ozdoby szm klerskiej, którą zakończony jest i w fałdy ściągnięty rękaw podszyty listwą jedwabną, 12 cent. szeroką. Od spodu przyszyta w pasie 3 cent. szeroka wstążka do wiąza-



N. 34. Koronka kolorowa polychrome robiona ręcznie na klockach. Patrz ryc. 25—26.



N. 35. Suknia z tuniką. Patrz ryc. 43 tudzież ryc. 25 w N-rze 16.

nia; guziki duże rogowe.

N. 2 i 9. Suknia z vêtement i z mantylą. Spódnica podana oddzielnie, krój i deseń wyszycia na dodatku z formami, N. XVIII fig. 108—114.

Model odrobiony był z piaskowego sukna i brązowego *foule* spódnicę z wełnianego lub jedwabnego materyału, oszyć spódniczkowym sukiennym wolantem, przykrojonym podług fig. 9 i podszyć od spodu włosienną tkaniną, ażeby sukno lepiej odstawało, następnie fałdy nieprzypłaszczone, przyczepić nieznacznie do spodnicy, w odstępie 10 cent. od brzega. Do vêtement zrobionego z *foule* dajemy model kroju draperyi na fig 8; stanik dopasowany podług dobrze leżącej formy, trzeba krajać w jednym ciągu z draperyą, a na przodach przystębnować z wierzchu części sukienne, widoczne na ryc. 2. Rękawy mogą być całe sukienne albo z *foule*, z mankietami sukiennemi, ozdobionemi zarówno jak plastron i stojący kołnierz wyszyciem ze sznureczka jedwabnego, brązowego i piaskowego, do którego deseń dajemy na fig. 114. Draperyę tylną sfałdować w górze i podpiąć z boków podług krzyżyków

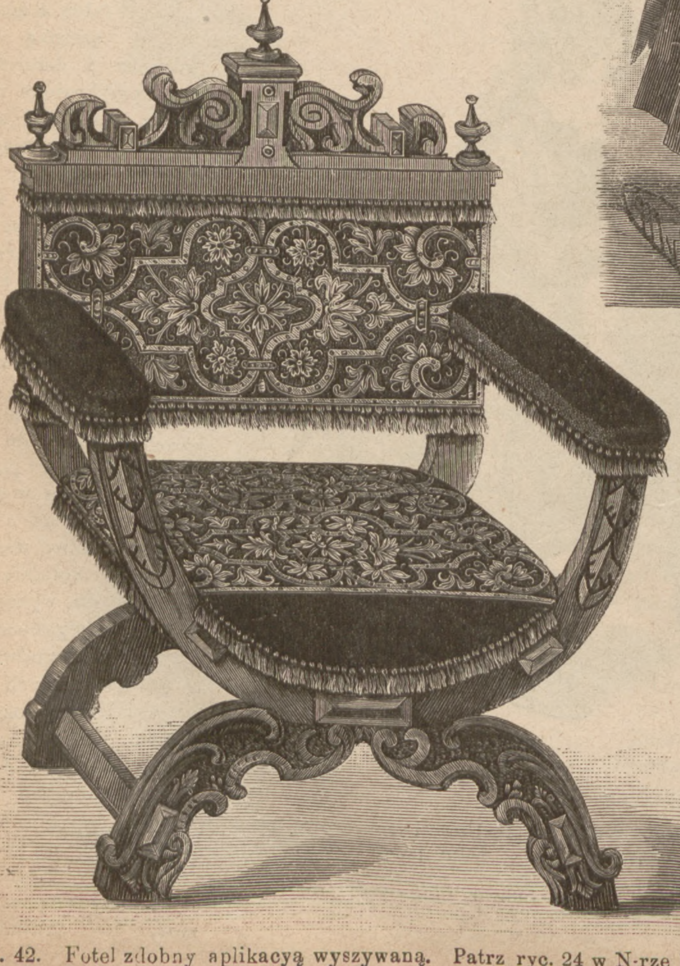


N. 37. Suknia z fałdowaną spódn. Patrz r. 36.

i punktów. Podpięcia boczne zdobi wyszycie (fig. 13) ze sznureczka brązowego, zakończone kwastami. Model kroju mantyli z długiemi, przewiązanemi końcami dajemy na fig. 111, a formę połowy kapturka w naturalnej wielkości na fig. 110. W ten ostatni daje się jasną podszewkę, zeszywa w środku od krzyżyka do punktu, w górze przymarszcza i przyszywa do mantyli od gwiazdki do dwukropka. Ranwers sukienny wyszyty jest sznureczkiem; końce mantyli zdobi pasmanterya z wisiadłami.

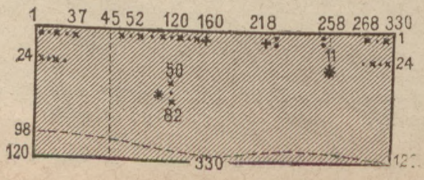


N. 41. Kapotka z kolorowego tiulu.



N. 42. Fotel zdobny aplikacyą wyszywaną. Patrz ryc. 24 w N-rze 16

N. 4 — 5. Parasoliki składane powozowe.



N. 43. Wymiar kroju tuniki do ryciny 35.

Ryc. 4 przedstawia parasolik pokryty zarówno jak i laska ozdobiona pomponami, repsem jedwabnym, w pasy pąsowe i szafirowe. Na otwartym parasoliku ryc. 5, widzimy wewnętrzne przyozdobienie $2 \frac{1}{2}$ cent. szeroką wstążką atłasową białą i pąsową, przy pokryciu pąsowem. Długość lasek wynosi 72 cent. długość pokrycia 32 cent. Pręciki ryc. 5, zakończone brązowemi kulkami.



N. 36. Suknia z fałdowaną spódnicą. Patrz ryc. 37.

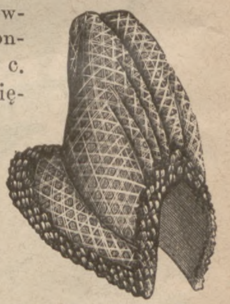
N. 6 i ryc. 11 w N. 19. Kapelusz okrągły bastowy.

Kapelusz z cienkiego czarnego bastu z główką 15 cent. wysoką, z rondem w górę odwiniętem, z boku 10 c. szerokiem, ku tyłowi do 3 cent. zwężonem, oszytem torsadą słomkową, ubrany był aksamitką czarną 3 cent. szeroką, krótkiemi czarnemi strusiemi piórami i kitką czerwono ognistego koloru.

N. 7 i ryc. 12 w N-rze 19. Okrągły, czarny słomkowy kapelusz.

Cienki, słomkowy kapelusz z główką szpiczastą 15 cent. wysoką, z rondem przeciętem z tyłu, z przodu 7 c. szerokiem, z boków w górę odwiniętem, z jednej strony do 10 c. rozszerzonem, podszytem aksamitem czarnym, ozdobionym torsadą perełkową 3 c. szeroką; ubrany był wstążką czarną reps. z pikot. 9 c. i koronką chantilly 8 c. szeroką.

(*D. n.*)



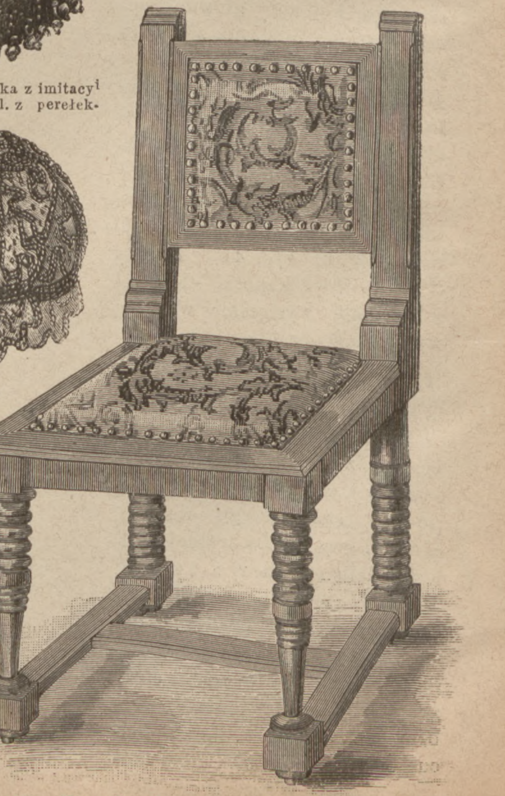
N. 38. Kapotka z imitacyi włosia, oszyta brzeżkiem z perełek.



N. 39. Kapotka z imitacyi włosia, z grel. z perełek.



N. 40. Kapotka tiulowa wyszyta dżetem.



N. 44. Krzesło zdobne malowaniem na skórze.